Mack Reynolds

Popijawa pilota

(Spaceman on a Spree)

Worlds of Tomorrow, June 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Dali mu złoty zegarek. Miało to oczywiście wydźwięk symboliczny. Zgodny ze starą tradycją. W pewnym sensie był to nawet zabytek, ponieważ był to jeden z tych czasomierzy produkowanych wiele pokoleń temu w alpejskim obszarze Eur-Azji. Jego osobliwość polegała na tym, że był on nakręcany, nie w sensie elektronicznym przez energetyczną stację radiową, ale poprzez fizyczne ruchy swojego właściciela. Taki, powoli obracający się wirnik, utrzymywany w ruchu przez naprężoną główną sprężynę.

Wyprawili mu też bankiet, do kompletu z przemówieniami takich grubych ryb z Departamentu Eksploracji Kosmosu jak akademik Lofting Gubelin, czy doktor Hans Girard-Perregaux. Wśród mówców był też ktoś z kręgów rządowych, ale był to jeden z tych pseudo-wybranych i nie wiedział zbyt wiele o tematyce podróży kosmicznych, ani o znaczeniu przejścia na emeryturę Seymoura Ponda. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zapamiętać jego nazwisko. Opowiadał tylko mętnie coś o tym dlaczego mieszkańcy Ziemi, w ogóle oderwali się od jej powierzchni i wyruszyli w przestworza.

Podobnie jak wszyscy inni odbiorcy złotych zegarków, z szeregu poprzednich pokoleń, Si Pond wolałby w nagrodę coś trochę bardziej namacalnego i konkretnego, jak na przykład dorzucenie do jego portfela, paru udziałów Zmiennych w Podstawie. Ale wydawało mu się, że żąda od życia zbyt wiele.

Sedno sprawy polegało na tym, że Si wiedział, iż jego odejście na emeryturę solidnie ich wyhamowało. Nawet nie zdawali sobie sprawy, że uskładał wystarczająco wiele udziałów w Podstawie, aby mieć dzięki temu przyzwoite utrzymanie. No cóż, być może nie była to prawda, biorąc pod uwagę ich standardy. Ale standardy pilota kosmicznego Seymoura Ponda były nieco odmienne. Miał mnóstwo czasu, żeby to sobie dobrze przemyśleć. Lepiej było odejść na emeryturę na gorszych warunkach, na paskudnie gorszych warunkach, niż podjąć się kolejnych dwu-trzech lotów, w nadziei uzyskania lepszych warunków.

Miał mnóstwo czasu żeby to przemyśleć, tam w kosmosie, podczas samotnych rejsów na Księżyc, lecąc na Wenus lub na Marsa. W czasie długich, długich wypraw na satelity Jowisza, ze strachem wypatrując u siebie symptomów depresji kosmicznej, obłędu wywołanego klaustrofobią, monotonią, nudą i stanem nieważkości. Mnóstwo czasu. Czasu aby podjąć decyzję, że jednopokojowe mini auto-mieszkanie, wyposażone w auto-fotel i wbudowany auto-bar, z jedną ścianą ti-vi ekranu, to wszystko czego potrzebował, żeby żyć sobie wygodnie przez bardzo długi czas. Być może ktoś taki, jak doktorek Girard-Perregaux byłby przerażony pomysłem życia w mini auto-mieszkaniu… nie zdając sobie sprawy, że dla pilota było ono nie do uwierzenia przestronne, w porównaniu ze stożkowatą wieżą pojazdu kosmicznego.

Nie. Nawet kiedy Si przysłuchiwał się ich przemowom, przyjmował od nich zegarek i nawet kiedy sam wygłaszał niewielką powściągliwą mówkę, uśmiechał się w duszy od ucha do ucha. Nic już nie mogli zrobić. Teraz ich miał. Uzbierał wystarczająco dużo udziałów w Podstawie, żeby dzięki nim utrzymać się do końca życia, całkiem wygodnie według jego standardów. Nigdy już nie będzie musiał ryzykować depresji kosmicznej. Wystarczyło tylko, że o tym pomyślał i koniuszek ust sam wyginał mu się do góry.

Mogli sobie teraz odliczać, startować i robić wszystkie te przeklęte rzeczy.

Pomysł ze złotym zegarkiem, pochodził od Loftinga Gubelina, co było typowe, ponieważ on sam był, w pewnym sensie, chodzącym anachronizmem. W zasadzie, akademik Gubelin był chyba jedynym żyjącym człowiekiem w Północnej Ameryce, który nosił okulary. Usprawiedliwiał to w ten sposób, że cierpi na fobię związaną z dotykiem jego oczu, co uniemożliwiało zarówno operację chirurgiczną, przemodelowującą gałki oczne aby usunąć krótkowzroczność, czy też użycie szkieł kontaktowych.

To była jedynie wymówka, a przynajmniej tak uważał jego najbliższy współpracownik Hans Girard-Perregaux. Doktor Girard-Perregaux był przekonany, że Gubelin wyhodowałby sobie nawet owłosienie na twarzy, gdyby miał odrobinę więcej odwagi. Gubelin wręcz rozpaczliwie tęsknił za przeszłością, rzadki przypadek w Państwie Ultradobrobytu.

Siedząc zapadnięty w fotelu, w saloniku wypoczynkowym swojego domu na Florydzie, Lofting Gubelin patrzył niechętnie na swego przyjaciela.

— Masz może jeszcze jakieś błyskotliwe plany, Hans? Zakładam, że teraz przyznajesz, iż odwoływanie się do patriotyzmu tych matołów, ich sentymentów oraz żądzy poklasku otoczenia, zawiodły na całej linii.

Girard-Perregaux odparł swobodnie:

— Nie nazwałbym Seymoura Ponda matołem. Na jego miejscu, obawiam się, zrobiłbym dokładnie to samo co on.

— To nonsens, Hans. Niech to Zoroaster! Zarówno ty, jak i ja, z chęcią zajęlibyśmy miejsce Ponda, gdybyśmy tylko byli w stanie wykonywać obowiązki, do których go wyszkolono. Nikt w całej Ameryce Północnej – nikt na całym świecie! – nie rozumie lepiej od nas potrzeby kontynuacji naszego marszu w kosmos. — Gobelin strzelił palcami. — Każdy z nas, ot tak, oddałby swoje życie, żeby zapobiec porzuceniu przez ludzkość jej drogi ku swemu przeznaczeniu.

Jego przyjaciel sucho stwierdził:

— Lofting, każdy z nas mógł trzydzieści lat temu, zgłosić się na ochotnika do szkolenia pilotów. Ale tego nie zrobiliśmy.

— W tamtych czasach w tym całym cholernym Państwie Ultradobrobytu, nie było tak cholernie wielkiego odsetka śmierdzieli. Kto mógł przewidzieć, że w końcu cały nasz program stanie wobec groźby zakończenia, z powodu braku odważnych młodych ludzi, chętnych do

przeżycia przygody, zdolnych do stawienia czoła wyzwaniom i niebezpieczeństwom, tak jak to robili nasi przodkowie.

Girard-Perregaux chrząknął z sarkazmem i wybrał na klawiaturze szklankę mrożonej herbaty oraz tequilę. Zauważył:

— Tym niemniej, i ty i ja zgadzamy się z obecnym pokoleniem, że dalece przyjemniej jest spędzać życie w komforcie domowych pieleszy, niż wystawiać się na konfrontację z niezbyt miłą perspektywą konieczności stawiania czoła zagrożeniom natury, tak jak to było w bardziej śmiałych czasach w przeszłości.

Gubelin, nieco rozdrażniony argumentacją swego przyjaciela, aż nachylił się do przodu, że rzucić ostrą replikę, ale tamten pomachał w jego stronę przecząco palcem.

— Lofting, musisz stawić czoła rzeczywistości. Nie możesz wymagać i oczekiwać od Seymoura Ponda więcej, niż jest to możliwe do uzyskania. On jest zwykłym, młodym człowiekiem. Urodził się w naszym Państwie Ultradobrobytu, miał więc zagwarantowane bezpieczeństwo od urodzenia do grobu, poprzez przydzielenie mu tej minimalnej liczby udziałów w Podstawie naszego społeczeństwa, która pozwala mu na osiągnięcie wystarczających dochodów, na zapewnienie wyżywienia, ubrania, schronienia, opieki medycznej i wykształcenia, aby mógł utrzymać pewien najniższy poziom egzystencji. Szanse były nieznaczne, aby mógł załapać się gdzieś do przemysłu. Automatyzacja w swej obecnej postaci powoduje, że jedynie niewielki odsetek ludności jest w ogóle kiedykolwiek wykorzystywany. Jego dossier zdolności przemysłowych wskazało go, jako potencjalnego kandydata na pilota kosmicznego, i to ty osobiście namówiłeś go do podjęcia szkolenia… wskazując mu co bardziej pragmatyczne korzyści, takie jak pełna emerytura po zaledwie sześciu wyprawach, dodatkowe udziały w Podstawie, tak by mógł cieszyć się wygodniejszym życiem niż większość społeczeństwa, oraz sława, towarzysząca tym nielicznym, którzy ciągle biorą udział w wyprawach na inne planety. Bardzo dobrze. Kupił to. Przeszedł szkolenia, które oczywiście, wymagały od niego wielu lat ciężkiej pracy. Potem, wykonując całkiem kompetentnie swoje obowiązki, odbył sześć wypraw. Teraz absolutnie legalnie nabrał praw do emerytury. Zapisał się do rezerw siły roboczej, odsłużył swój okres, a teraz jest wolny od konieczności stawiania na szali swojego życia. Czemu miałby wysłuchać naszych błagań o parę kolejnych lotów?

— Ale czy on nie ma w sobie żadnego ducha przygody? Nie czuje…

Girard-Perregaux ponownie pomachał palcem, w geście który wyglądał łagodnie, ale niósł ze sobą zdumiewającą siłę, ucinającą kwestię wygłaszaną przez kogoś, kto dyskutował z tym z pozoru wyrozumiałym, spokojnie mówiącym człowiekiem.

Powiedział:

— Nie, nie ma. W dzisiejszych czasach jest bardzo niewielu ludzi, którzy go mają. Mężczyźni zawsze wiele gadali o przygodzie, trudnych

doświadczeniach i adrenalinie, ale w rzeczywistości ich instynkty, podobnie jak w przypadku każdego innego zwierzęcia, prowadziły ich na najmniej niebezpieczną ścieżkę. Dzisiaj dotarliśmy do punktu, w którym nikt nie chce stawiać czoła niebezpieczeństwu – nigdy. Tylko bardzo niewielu z tego powodu traci. Włączając w to ciebie i mnie, Lofting, i włączając Seymoura Ponda.

Jego przyjaciel i kolega zmienił temat, nagle, niecierpliwie.

— Zostawmy tę cholerną paplaninę o motywacjach Ponda o przejdźmy do sedna sprawy. Ten człowiek jest jedynym wyszkolonym pilotem kosmicznym na świecie. Doprowadzenie jakiegoś innego początkującego pilota, do poziomu w którym będzie mu można bezpiecznie powierzyć nasz następny pojazd kosmiczny, zajmie miesiące a może nawet ponad rok. Coraz trudniej jest nam uzyskać pozwolenia na nasze ekspedycje – nawet jeśli w swoich własnych oczach, Hans, jesteśmy blisko ważnych przełomów, przełomów które mogą tak rozpalić całą rasę, że poniesie nas nowa fala marzeń o pchnięciu ludzkości w kosmos, ku gwiazdom. Jeśli wszyscy się dowiedzą, że nasza organizacja zdegenerowała się do takiego stanu, iż nie mamy ani jednego pilota, równie dobrze może się okazać, że Rada Planowania Ekonomicznego, a już szczególnie te ciemniaki z Komisji Budżetowej, zamkną cały Departament Eksploracji Kosmosu.

— A więc… — delikatnie zasugerował Girard-Perregaux.

— A więc, jakimś sposobem musimy ściągnąć Seymoura Ponda z tej jego emerytury!

— Teraz zaczynamy przechodzić do istoty sprawy — Girard-Perregaux skinął głową zgadzając się z rozmówcą. Jego oczy spoglądające ponad krawędzią trzymanej w dłoni szklanki zwęziły się, a twarz przybrała makiaweliczny wyraz. — A czyż cel nie uświęca środków?

Gubelin puścił do niego oko.

Tamten zachichotał w odpowiedzi.

— Kłopot z tobą, Lofting, że próbując rozwiązać nasz problem, nie pomyślałeś o historii. Czy nigdy nie czytałeś o marynarzach i ich stylu życia?

— Marynarze? A co na wiecznie żywego Zoroastra, mają do tego marynarze?

— Musisz zdać sobie sprawę, mój drogi, że nasz Si Pond jest niczym innym, tylko marynarzem dzisiejszych czasów, z wieloma problemami, poglądami, tendencjami i słabościami tych obieżyświatów z przeszłości. Czy nigdy nie słyszałeś o marynarzu marzącym o powrocie do wioski, w której się wychował, i kupnie farmy hodowlanej, czy coś podobnego? Przez te wszystkie samotne miesiące na morzu – a czasami transportowce żeglugi trampowej, czy statki wielorybnicze były w rejsie przez całe lata, zanim wróciły do swego portu macierzystego – opowiadał o planowanej emeryturze i o swoim marzeniu. I co potem? Potem, w porcie, zanim wziął swe zebrane zarobki i ruszył z nimi do domu, wypijał szybką kolejkę z innymi chłopakami. Jedna szybka kolejka prowadziła do następnej. I rano znajdowano go pijanego, bez pieniędzy, wytatuowanego, nierzadko budził się po tym wszystkim we więzieniu. A więc wracał na morze, nie mając innego wyjścia.

Gubelin chrząknął kwaśno:

— Niestety, naszego współczesnego marynarza nie da się tak łatwo pozbawić jego pieniędzy. Gdyby to było możliwe, osobiście chętnie zwabiłbym go w jakąś ciemną uliczkę, dał mu po głowie i zabrał wszystko co ma. Tylko po to, żeby zagonić go z powrotem do roboty.

Wyciągnął z kieszeni portfel, machnął nim w powietrzu, aby otworzyć go na przegródce zawierającej uniwersalną kartę kredytową.

— Ostateczny środek płatności — chrząknął. — Nikt nie może wydać twoich pieniędzy, poza tobą samym. Nikt nie może ich ukraść, nikt nie może, hmm, przekonać cię, żebyś mu je oddał. A więc, w jaki sposób masz zamiar pozbawić naszego współczesnego marynarza zebranych przez niego skarbów?

Jego rozmówca ponownie zachichotał.

— To po prostu kwestia znalezienia bardziej współczesnych metod, mój drogi kolego.

II

Si Pond był wielkim zwolennikiem instytucji popijawy. Nic mu nie mogło tego wyperswadować. W przeszłości, w wieku dwudziestu pięciu lat, kiedy ukończył podstawową edukację i został zarejestrowany w spisie siły roboczej, nie miał szansy nawet jednej na sto, że będzie miał tego pecha i jego nazwisko zostanie wylosowane. Ale kiedy tak się stało, Si świętował.

Gdy został poinformowany o tym, że jego fizyczne i umysłowe kwalifikacje, predestynują go do najbardziej niebezpiecznego zawodu w Państwie Ultradobrobytu, i zmuszono go do podjęcia szkolenia na pilota kosmicznego, świętował po raz kolejny. Na szkolenie przyjęto razem z nim dwudziestu dwu innych młodych ludzi, a jedynie on i Rod Cameroon przeszli egzaminy końcowe. Przy tej okazji, on i Rod świętowali wspólnie. To dopiero była impreza. Dwa tygodnie później, Rod spłonął podczas nieudanego startu, w wydawałoby się rutynowy lot na Księżyc.

Za każdym razem, kiedy Si wracał z kolejnego ze swoich lotów, świętował na całego. Popijawa, impreza, balanga, noc na mieście. Ku pamięci wszystkich tych zagrożeń, które napotkał i pokonał.

Teraz wszystko było skończone. W wieku trzydziestu lat przeszedł na emeryturę. Prawo chroniło go przed kolejnym przymusowym powołaniem do udziału w krajowych zasobach siły roboczej. A z całą pewnością nie miał zamiaru zgłaszać się na ochotnika.

W szkołach spędził mniej więcej tyle samo czasu, co inni współcześni. Nie było żadnego szczególnego powodu, aby się pod tym względem wywyższać. Nikt nie chce przecież mieć reputacji mędrka, jak również z drugiej strony, ciemniaka. Po prostu zwykły chłopak. Człowiek przecież będzie robił w życiu to samo, niezależnie od tego, czy naprawdę studiował, czy nie. W końcu każdy ma udziały Niezbywalne w Podstawie, nieprawdaż? Czego więcej potrzeba?

Kiedy powołano go do zasobów siły roboczej, zostało to odebrane jako niespodzianka.

W początkach istnienia Państwa Ultradobrobytu, popełniono błąd w jego przystosowaniu do automatyzacji drugiej rewolucji przemysłowej. Próbowano każdemu dać pracę, redukując liczbę godzin roboczych w trakcie dnia i liczbę dni roboczych w czasie tygodnia. W końcu doszło do śmiesznej sytuacji, kiedy pracownicy w fabrykach pracowali dwa dni w tygodniu i dwie godziny dziennie. Prawdę mówiąc wywoływało to potężny chaos. W końcu oczywiste się stało, że bardziej praktycznym rozwiązaniem jest posiadanie jednego pracownika, zatrudnionego przez trzydzieści pięć godzin tygodniowo, który dobrze znał swoje zadania, niż całej gromady pracowników, z których każdy pracował przez kilka godzin w tygodniu, i żaden z nich nie miał szansy nigdy stać się naprawdę efektywnym.

Jedyną sensowną rzeczą, było pozostawienie technologicznych bezrobotnych bez zatrudnienia, z przydzielonymi udziałami Niezbywalnymi w Podstawie, jako ekwiwalentem ubezpieczenia od bezrobocia, podczas gdy tych kilku nadal jeszcze potrzebnych pracowników, pracowało rozsądną liczbę godzin dziennie, rozsądną liczbę tygodni w roku i rozsądną liczbę lat w życiu. Kiedy potrzebni byli nowi pracownicy, przeprowadzano ich losowanie.

Brały w nim udział wszystkie osoby zarejestrowane w zasobach siły roboczej. Jeśli ktoś został wylosowany, musiał pracować. Niezadowolenie, jakie mogliby odczuwać ci wybrani, było rekompensowane przez fakt, że mieli oni przyznawane dodatkowe udziały Zmienne w Podstawie, stosownie do zadań, jakie wykonywali. Udziały te mogły zostać dodane do ich portfeli, a wynikające z nich dywidendy stawały się częścią ich bieżącego konta kredytowego, albo mogły zostać sprzedane za solidną sumkę na rynku.

Tak, ale teraz wszystko się już skończyło. Miał swoje własne niewielkie mieszkanko, należący do niego pojazd komunikacyjny tuby próżniowej i dwa razy tyle udziałów w Podstawie, niż mogła się pochwalić większość jego współobywateli. To on, Si Pond, tego dokonał. W oczywisty sposób wymagało to popijawy.

Tym razem zamierzał zrobić to naprawdę porządnie. Ta impreza miała być solidna. W ciągu ostatnich paru miesięcy zgromadził całą kupę dolarów i chciał je przepuścić, a przynajmniej pokaźną ich część. Karta kredytowa paliła go coraz bardziej w kieszeni, w miarę jak nabierał ekspresji. Nie miał jednak zamiaru przyśpieszać biegu spraw. To musi zostać przeprowadzone we właściwy sposób.

Zbyt wiele popijaw było improwizowanych bez żadnego planu. Zaczynało się od paru głębszych, spotykało się jakąś drugorzędną brzydulę i zazwyczaj lądowało w najgorszej knajpie, gdzie człowiek wydawał tyle, jakby był to najbardziej klasowy lokal w mieście. Nadchodził poranek i za te wszystkie wydane dolary nie miało się nic, poza potężnym kacem.

Tak to mniej więcej odbywało się zawsze, jak Si mgliście zdawał sobie sprawę, przez całe wieki, od czasów fenickich żeglarzy, wracających z

wieloletnich rejsów do kopalni cyny w Kornwalii, którzy w ciągu paru dni przepuszczali swe ciężko zarobione pieniądze w winiarniach Tyru. Nikt nie dostawał tak mało za swoje pieniądze, jak ci najbardziej samotni ze wszystkich pracujących ludzi, którzy dla odległych krain musieli zostawiać rodzinne domy, wracając do nich tylko co jakiś czas i zazwyczaj z kieszeniami wypchanymi zarobkami za długotrwałe, nużące okresy czasu, wydając je następnie pośpiesznie w próbie osiągnięcia przyjemności i szczęścia, tak długo im niedostępnych.

Tym razem, Si miał zamiar zrobić to zupełnie inaczej.

Tylko to, co najlepsze. Wino, kobieta, śpiew, jedzenie, rozrywka. Wszystko, co tylko możliwe. Ale jedynie w najlepszym wydaniu.

Żeby od czegoś rozpocząć, bardzo starannie ubrał się w nowo zakupiony, dystyngowany strój odpowiadający pozycji emeryta. W klapę skrupulatnie wpiął szpilkę ze swoją odznaką pilota kosmicznego. Na początek będzie idealnie, zdecydował. Kiedy idzie się na miasto, odrobina prestiżu nie zaszkodzi. W Państwie Ultradobrobytu, zaledwie jedna osoba na sto faktycznie zrobiła cokolwiek dla społeczeństwa. Wysiłki większości, nie były do niczego potrzebne. Ci nieliczni, którzy dokładali swoje cegiełki, nagradzani byli zaszczytami, odznaczeniami, tytułami.

Odpowiednio już ubrany, Si dwa razy sprawdził, czy wsadził do kieszeni swoją kartę kredytową. A po chwili namysłu, podszedł do domowego tivi-telefonu, włączył go, przystawił kartę do ekranu i polecił:

— Sprawdzenie stanu konta, proszę.

Po chwili głos robota tivi-telefonu oznajmił:

— Dziesięć udziałów Niezbywalnych w Podstawie. Dwanaście udziałów Zmiennych w Podstawie, bieżąca wartość: cztery tysiące dwieście trzydzieści trzy dolary i sześćdziesiąt dwa centy, za każdy. Bieżący kredyt gotówkowy tysiąc osiemdziesiąt cztery dolary.

Ekran zgasł.

Tysiąc osiemdziesiąt cztery dolary. To było mnóstwo pieniędzy. Mógł spokojnie wydać nawet połowę tego, jeśli impreza potoczy się tak wspaniale, jak miał na to nadzieję. Jakoś tak w przyszłym, tygodniu miały wpłynąć jego miesięczne dywidendy, nie musiał więc się martwić swoimi bieżącymi wydatkami. Tak, rzeczywiście, Si Pond był równie wypłacalny, jak zawsze w czasie trzydziestu lat swego życia.

Otworzył niewielkie drzwi, wyglądające jakby od szafy, prowadzące do jego dwumiejscowej kapsuły tuby próżniowej i wcisnął się do małego pojazdu. Opuścił pokrywę pojazdu, wcisnął przycisk zwiększenia ciśnienia i popatrzył na klawiaturę. Tylko jedno miejsce tak naprawdę miało sens. Jakieś duże miasto.

Zastanowił się przez chwilę, zrezygnował z Baltimore i Bostonu, a zamiast nich zdecydował się na Manhattan. Miał odpowiednie zasoby. Równie dobrze mógł to zrobić naprawdę z przytupem.

Wybrał na klawiaturze Manhattan i poczuł że opada, co oznaczało iż jego samochód zsuwa się do poziomu tuby. W czasie, kiedy

zrobotyzowane przyrządy sterujące przejmowały kontrolę, przesuwały nim to tu, to tam, przygotowując się do wysłania go do miejsca przeznaczenia, zadzwonił z tivi-telefonu pokładowego, do informacji o hotelach na wyspie na rzece Hudson. Wybrał najbardziej elegancki hotel o jakim czytał i który widział w przekazach tivi, w plotkarskich wiadomościach o celebrytach, i wstukał jego numer na klawiaturze miejsca docelowego samochodu.

— Nic nie jest za dobre dla byłego pilota kosmicznego Si Ponda — głośno oznajmił.

Samochód zawisł na chwilę nieruchomo, w krótkim momencie zawahania przed wypchnięciem go w tubę, a Si mimowolnie wziął głębszy oddech, przed którym powstrzymać się byli w stanie tylko prawdziwi bohaterowie. Powoli wcisnęło go plecami w fotel. Po kilku chwilach kierunek naporu uległ odwróceniu.

Manhattan. Ponownie nastąpił okres szarpania kapsułą, i dwa kolejne boczne krótsze pchnięcia. W końcu na desce pojawiło się zielone światło i Si otworzył pokrywę, a następnie wszedł do swego pokoju hotelowego.

Rozległ się łagodny głos:

— Jeśli pokój pana zadowala, proszę w ciągu dziesięciu minut przedstawić swoją kartę kredytową.

Si nie śpieszył się. Nie dlatego, żeby tak naprawdę musiał się zastanawiać. Był to najbardziej luksusowy apartament hotelowy, jaki widział w życiu. Cała jedna ściana stanowiła okno, o rozmiarach jakie tylko gość sobie zażyczył, i Si dotknął przycisku, który maksymalnie je powiększył. Za nim roztaczała się panorama, obejmująca zarówno Muzeum Empire State Building, jak i rzekę Hudson. Za rzeką rozciągało się niemal niekończące się miasto, Większe Metropolis.

Nie marnował czasu na przerzucanie menu, obsługującego stół auto-jadalni, nie sprawdzał też niekończącej się listy napitków auto-baru. Wszystko to, jak dobrze wiedział, będzie najwyższej jakości. Poza tym nie planował ani jadać, ani zbyt wiele pić w swoim apartamencie. Obrzucił wnętrze kpiącym spojrzeniem. Chyba, że uda mu się załatwić sobie jakieś damskie towarzystwo, wtedy to co innego.

Obrzucił krótko wzrokiem basen i łazienkę, a potem rzucił się szczęśliwy na łóżko. Nie było aż tak miękkie jakby w tej chwili pragnął, przestawił więc je w krańcowe położenie w tym kierunku, tak że ze śmiechem zatonął, niemal znikając, w głębiach materaca.

Podniósł się z powrotem na nogi, poklepał odrobinę ubranie, które po tej operacji wyglądało jakby wyszło prosto spod żelazka, wyciągnął z kieszeni kartę kredytową, przystawił ją do ekranu tivi-telefonu i nacisnął przycisk hotelu, aby można było dokończyć rejestracji.

Przez chwilę stał na środku pokoju, zastanawiając się. Spokojnie, Si, Rozegraj to na chłodno, tym razem. Nie ma szastania dolarami na wszystkie strony w drugorzędnych knajpach, żadnego jedzenia w zautomatyzowanych garkuchniach. Tym razem, niech to będzie wyjątkowy czas w jego życiu, miał zamiar zabawić się w wielkim stylu. Si Pond nie jest jakimś tam ciemniakiem z pospólstwa.

Zdecydował, że w celu zaplanowania właściwej strategii, przydałby mu się jeden głębszy. Drink w sławnej Sali Sław tego hotelu, w której wizyty najbardziej znanych celebrytów były czymś normalnym i powszechnym.

Wyszedł ze swojego pokoju i podszedł do jednej z wind. Polecił:

— Sala Sław.

Auto-winda wymruczała uprzejmie:

— Tak, proszę pana. Sala Sław.

W drzwiach do baru, słynnego ze spotkań najbardziej wytwornego towarzystwa, Si zatrzymał się na chwilę i rozejrzał dokoła. Nigdy jeszcze nie był w takim miejscu. Z uśmiechem w duszy, stłumił jednak swój pierwszy odruch, aby się zastanowić, co ta wizyta uczyni z jego bieżącym kontem kredytowym, i ruszył do baru.

Prawdę mówiąc, był tam nawet barman.

Si Pond zdusił zdumienie i oznajmił, próbując naprędce stworzyć wrażenie swobodnego wyrafinowania.

— Śliwowica Sour.

— Tak, proszę pana.

Drinki w Sali Sław mogły być sporządzane ręcznie, ale Si zauważył, że dostępne były tutaj również rutynowe ekrany tivi, wbudowane w bar, służące do płacenia. Kiedy otrzymał drinka, umieścił swoją kartę kredytową na ekranie znajdującym się bezpośrednio przed nim walcząc z pragnieniem natychmiastowego sprawdzenia stanu swojego konta, jak również gorączkowych wyliczeń w pamięci, ile ten sour mógł go kosztować.

No cóż, to było dokładnie coś o co mu chodziło. Właśnie o tego rodzaju rzeczach marzył od zawsze, tam w kosmosie, w ogromnej samotności, siedząc w klaustrofobicznym zamknięciu wieży pojazdu kosmicznego. Wysączył drinka, stwierdzając że absolutnie odpowiada on jego najwyższym oczekiwaniom, a następnie przekręcił się nieznacznie na stołku, aby rzucić okiem na innych obecnych.

Ku jego rozczarowaniu, nie było żadnych rozpoznawalnych celebrytów. A przynajmniej nikogo, kogo on potrafiłby zidentyfikować – spośród największych gwiazd tivi, najważniejszych polityków Państwa Ultradobrobytu, czy też osobowości ze świata sportu.

Odwrócił się z powrotem w stronę swego drinka i wtedy, po raz pierwszy, zauważył dziewczynę siedzącą o dwa stołki od niego. Si Pond zamrugał. Zamrugał, a następnie przełknął ślinę.

— Zo-ro-aster — odetchnął.

Zrobiona była w najnowszym stylu z Szanghaju, nawet do tego stopnia, że kosmetycznie powieliła sobie mongolską fałdę w kącikach oczu. Każda pora skóry, ale to dosłownie każda, była na właściwym miejscu, Siedziała ze swobodnym wdziękiem Orientu, tak rzadko spotykanym na Zachodzie.

Jego spojrzenia nie dało się zignorować.

Popatrzyła na niego zimno, odwróciła się do barmana i wymruczała:

— Fredricu, Far Out Cooler, poproszę. — A potem celowo dodała: — Myślałam, że Sala Sław miała być ekskluzywnym miejscem.

Barman, oczywiście, nic na to nie mógł powiedzieć i tylko krzątał się, przygotowując drinka.

Si odchrząknął.

— Hej — zaproponował, — a co by pani powiedziała, gdyby ten poszedł na moje konto?

Jej brwi, starannie powyskubywane i podkreślone kredką, aby odpowiadać orientalnym motywom, lekko się uniosły.

— Naprawdę? — powiedziała, przeciągając wymówione słowo.

Barman wtrącił pośpiesznie.

— Błagam o wybaczenie, proszę pana…

Dziewczyna, której głos nagle zmienił się subtelnie, spytała:

— Chwileczkę, czy to nie jest odznaka pilota kosmicznego?

Si, którego nagła odmiana wprawiła w zakłopotanie, odparł:

— Taaa… zgadza się.

— Dobry Boże, a więc pan jest kosmonautą?

— Zgadza się. — Wskazał na odznakę w klapie. — Nie wolno tego nosić, chyba że wzięło się udział przynajmniej w locie na Księżyc.

W oczywisty sposób była zawstydzona i jednocześnie pod wrażeniem.

— Przecież — powiedziała, — pan nazywa się Seymour Pond i jest pan pilotem. Byłam na bankiecie, który wydali na pańską cześć.

Si, zabierając ze sobą szklaneczkę, przeniósł się na stołek koło niej.

— Mów na mnie Si — zaproponował. — Wszyscy nazywają mnie Si.

Odparła:

— Ja nazywam się Natalie. Natalie Paskov. Po prostu Natalie. Nie mogę uwierzyć, że spotkałam Seymoura Ponda. Po prostu siedzę sobie koło niego przy barze. Ot, tak.

— Si — poprawił ją Si, zadowolony. Święty Zoroastrze, nigdy jeszcze nie widział czegoś tak wyrafinowanie pięknego. Może w tivi, oczywiście, jeden z tych współczesnych symboli seksu, ale nigdy osobiście. — Mów na mnie Si — powtórzył. — Od tak dawna wszyscy nazywają mnie Si. Już nawet nie wiem o kim się mówi, jeśli w rozmowie używane jest imię Seymour.

— Popłakałam się, kiedy dali ci ten antyczny zegarek — powiedziała, takim tonem, że oczywiste było, iż do tej chwili jeszcze nie do końca otrząsnęła się ze wstrząsu spotkania z nim.

Si Pond był zaskoczony.

— Popłakałaś się? — spytał. — Ale czemu? Byłem trochę znudzony tą całą imprezą. Tylko stary doc Gubelin, dobrze go poznałem w czasie swojej pracy w departamencie Eksploracji Kosmosu, bardzo to przeżywał.

— Akademik Gubelin? — powiedziała. — Tu mówisz na niego tak po prostu doc?

Si zaczął się odprężać.

— A czemu nie, pewnie. W Departamencie Kosmicznym nie mamy zbyt wiele czasu na formalności. Każdy jest po prostu Si, docem, czy Jimem. Po prostu. Ale dlaczego zaczęłaś płakać?

Opuściła wzrok na drinka, którego barman postawił przed nią, tak jakby unikając spojrzenia mu prosto w twarz.

— Ja… Wydaje mi się, że stało się to podczas przemówienia doktora Girarda-Perregaux. Stałeś tam, taki przystojny i swobodny, w mundurze pilota kosmicznego, weteran sześciu wypraw eksploracyjnych na obce planety…

— Nie — skromnie wtrącił Sid. — dwa z tych lotów były tylko na Księżyc.

— …a on opowiadał te wszystkie rzeczy o ludzkości podbijającej kosmos. O marzeniach o gwiazdach, które ludzkość od tak dawna hołubi. I w dodatku jeszcze to, że byłeś ostatnim pilotem. Ostatnim człowiekiem na calutkim świecie, potrafiącym pilotować statki kosmiczne. A teraz jesteś tutaj, na emeryturze.

Si chrząknął.

— Taaa. To wszystko było częścią spisku doca, żeby namówić mnie na zgodę na kolejne trzy loty. Bali się, że cały departament zostanie zlikwidowany przez Komisję Budżetową, Rady Planowania Ekonomicznego. Nawet jeśli uda im się znaleźć jakiegoś innego frajera, wyszkolenie go do tej roboty może zająć im nawet i rok, zanim będą w stanie wysłać go chociaż na Księżyc. Dlatego ten stary pryk Gubelin, razem z Girardem-Perregaux, próbowali wcisnąć mi kolejne loty. W przeciwnym razie, zostaną z Departamentem Eksploracji Kosmosu, ze wszystkimi jego wydatkami i całym tym bałaganem, ale nie będą mieli nikogo kto by potrafił pilotować statki. W pewnym sensie, to nawet trochę zabawne. Wiesz ile kosztuje każdy z tych ich statków kosmicznych?

— Zabawne? — powtórzyła. — Jakoś wcale nie wydaje mi się to zabawne.

Si zaproponował.

— Posłuchaj, a co byś powiedziała na kolejnego drinka?

Natalie Paskov odparła:

— Och, chętnie się napiję w pańskim towarzystwie, panie…

— Si — poprawił ją Si. Skinął na barmana, wykonując ręką kółko w powietrzu, aby ponownie zamówić dwa razy to samo. — Jak to się stało, że tak dużo wiesz na ten temat? Nie spotyka się zbyt wielu ludzi, którzy w ogóle zainteresowani są kosmosem. Prawdę mówiąc, większość traktuje te sprawy niemal z pogardą. Myślą, że to tylko wielki humbug, umożliwiający zużycie mnóstwa zasobów, aby nakręcić gospodarkę.

Natalie rzuciła żarliwie:

— Ja byłam fanką kosmosu przez całe swoje życie. Przeczytałam wszystko co się dało na ten temat. Zawsze znałam nazwiska wszystkich pilotów kosmicznych, i wszystko o nich wiedziałam, od czasu kiedy byłam dzieckiem. Chyba można powiedzieć, iż podzielam to marzenie, o którym mówił doktor Girard–Perregaux.

Si zachichotał.

— Prawdziwa entuzjastka, co? Wiesz, to trochę śmieszne. Ja nigdy za bardzo się tym nie interesowałem. A moje zainteresowanie jeszcze

bardziej spadło po pierwszym locie, kiedy zorientowałem się co to jest depresja kosmiczna.

Zmarszczyła brwi.

— Nie wydaje mi się, żebym zbyt wiele o tym wiedziała.

Siedząc sobie w Sali Sław, z najpiękniejszą dziewczyną z jaką w życiu rozmawiał, SI mógł sobie pozwolić na nonszalanckie potraktowanie tego tematu.

— Stary Gubelin usiłuje ten aspekt zagadnienia jak najbardziej wyciszać i nie pozwala by wyciekał on do artykułów w gazetach i czasopismach. Twierdzi, że i tak w opinii publicznej już teraz jest zbyt dużo sprzeciwu wobec eksploracji kosmosu. Ale na tym etapie rozwoju, gdy całe statki wypełnione są po brzegi automatyczną aparaturą naukową i podobnymi rzeczami, w wieży sterującej statku pozostaje bardzo niewiele cennego miejsca, i pilot jest jedynym człowiekiem na pokładzie. Doc twierdzi, że w przyszłości, kiedy statki będą większe i na pokładzie będzie cała grupa ludzi, takie rzeczy jak depresja kosmiczna znikną, ale…

Zupełnie nagle prawy koniuszek ust Si zaczął dygotać nerwowo, i pośpiesznie uniósł swego drinka, wypijając go do dna.

Odchrząknął.

— Lepiej porozmawiajmy o czymś innym. Posłuchaj Natalie, a może byś coś zjadła? Świętuję swoje odejście na emeryturę. Wiesz, wypuściłem się trochę na miasto. Gdybyś miała trochę wolnego czasu…

Włożyła koniuszek palca między wargi, wyglądając przez chwilę raczej jak mała dziewczynka, niż ultra-wyrafinowana piękność.

— Chyba jestem umówiona — odparła z wahaniem.

Kiedy poranek zasnuł okolicę mgłami – jeśli to był ciągle jeszcze poranek – obudził go natarczywy dźwięk gongu hotelowego. Si przetoczył się na plecy i warknął:

— Zo-ro-as-ter, wyłącz to! Czego chcesz?

Komunikator hotelu oznajmił miękkim tonem:

— Czas na opuszczenie pokoju, proszę pana. Jest godzina druga.

Si jęknął. W ogóle nie mógł sobie przypomnieć wczorajszej nocy. Nie pamiętał jak wrócił do hotelu. Nie miał pojęcia gdzie się rozstał z tą, jak jej tam było na imię… Natalie.

Mgliście przypominał sobie absynt w jakimś fantastycznym klubie, do którego go zabrała. Jak to było z tym jej dowcipem? Absynt powoduje, że serce robi się bardziej czułe. A potem ten klub z maszynami hazardowymi. I mgła, która go otoczyła. Góry na Księżycu, ile ta dziewczyna mogła wypić! Po prostu nie był przyzwyczajony do tego. W Szkole Kosmicznej się nie pije, a już z pewnością nie można pić kiedy jesteś w kosmosie. Jego hulanki nie były aż takie wielkie, a między nimi były duże odstępy czasu.

Po chwili powiedział:

— Nie planuję dzisiaj opuszczenia pokoju. Proszę zostawić mnie w spokoju.

Wcisnął głowę w poduszkę.

Komunikator hotelowy oznajmił spokojnie:

— Bardzo mi przykro, proszę pana, ale stan pańskiego konta kredytowego nie jest dostatecznie wysoki, aby opłacić rachunek za kolejny dzień.

Si Pond wyskoczył do góry, prostując się w łóżku, nagle zupełnie trzeźwy.

Powiódł oczyma po pokoju, tak jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu. Jego ubranie, jak zauważył, leżało porozrzucane w nieładzie na krześle. Podszedł do niego z pustą twarzą i zaczął szukać swojej karty kredytowej, znajdując ją w końcu w bocznej kieszeni. Chwiejnie podszedł do tivi-telefonu i przycisnął kartę do ekranu. Zapytał głosem równie pustym, jak jego twarz:

— Sprawdzenie stanu konta, proszę.

Po niecałej minucie, głos robota oznajmił:

— Dziesięć udziałów Niezbywalnych w Podstawie. Bieżący kredyt gotówkowy, czterdzieści dwa dolary i trzydzieści centów.

Ekran ściemniał.

Wrócił i opadł na krzesło, na którym leżały jego rzeczy, nie zwracając na nie uwagi. To nie mogła być prawda. Jeszcze wczoraj miał dwanaście udziałów Zmiennych w Podstawie, bezpośrednio wymienialnych na ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które chciał w przyszłości raczej wymienić na gotówkę, niż w nieskończoność ciułać dywidendy. Nie tylko, że miał te dwanaście udziałów Zmiennych, ale w dodatku ponad tysiąc dolarów gotówki do dyspozycji.

Uderzył się pięścią w usta. Można było sobie wyobrazić, że przepuścił ten tysiąc dolarów. Było to możliwe, aczkolwiek niemalże nie do uwierzenia. Miejsca, które odwiedzał z tą dziewczyną w chińskim makijażu, były pewnie najdroższymi w całym Większym Metropolis. Ale, chociaż takie drogie, nieprawdopodobne było, żeby wydał pięćdziesiąt tysięcy dolarów! To niemożliwe.

Zerwał się na nogi i ponownie skierował do ekranu tivi-telefonu, aby zażądać zestawienia wydatków z ostatnich dwudziestu czterech godzin, z Centrum Statystycznego. To wszystko wyjaśni. Każdego wydanego pensa. Coś tutaj było nie tak. W jakiś sposób ta dziewczyna go oskubała. Nie wyglądała na taką. Ale coś się stało z tymi jego Zmiennymi udziałami w Podstawie, i nie miał zamiaru przejść nad tym do porządku dziennego. To było jego zabezpieczenie, jego obrona przed ześlizgnięciem się z powrotem w szeregi pospólstwa, biednych, na wpół udupionych zwykłych ludzi, pędzących rozpaczliwie ponure życie, egzystujących dzięki hojności Państwa Ultradobrobytu i przychodom z dziesięciu udziałów Niezbywalnych w Podstawie.

Połączył się ze Statystyką i umieścił kartę na ekranie. Polecił drżącym z napięcia głosem:

— Zestawienie wszystkich wydatków za ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

Potem usiadł i obserwował.

Pierwszym punktem była podróż tubą próżniową na Manhattan. Dwa dolary pięćdziesiąt centów. Następnym, pokój w hotelu. Pięćdziesiąt

dolarów. No cóż, wiedział, że to nie będzie tanie. Sour ze śliwowicy, w Sali Sław, jak stwierdził, poszedł za trzy dolary za kolejkę, zaś Far Out Coolery, które wypiła Natalie, kosztowały po cztery dolary. Absynt był jeszcze gorszy, wydał po dziesięć dolarów za drinka.

Zaczynał się niecierpliwić. Wszystko to razem wzięte, nie dawało kwoty nawet zbliżonej do tysiąca dolarów, nie mówiąc już o pięćdziesięciu tysiącach.

W zestawieniu na ekranie wyskoczył punkt, którego nie rozumiał. Dolar przychodu. A potem, bezpośrednio po nim, sto dolarów przychodu. Si popatrzył ze zmarszczoną brwią.

I wtedy, powoli, wyciągnął rękę i wyłączył wyświetlanie zestawienia. Ponieważ wróciła mu pamięć tego co się stało.

Na początku, wygrywał. Wygrał tyle, że inni gracze zebrali się wokół niego, przyglądając się jego grze. Pięć tysięcy, dziesięć tysięcy. Natalie szalała z radości. Inni wznosili owacje ku jego czci. Stawiał coraz więcej, mniejsze stawki stały się bez znaczenia, zaś pojedyncze zakłady sięgnęły kwot tysięcy dolarów. Ku swemu zdziwieniu przegrał zakład za pięć tysięcy, a potem kolejny. Kibice ucichli. Kiedy wprowadził następny zakład za pięć tysięcy, robot z ekranu tivi poinformował go beznamiętnym głosem, że jego bieżące konto wydatków gotówkowych było niewystarczające, aby pokryć tę kwotę.

Tak. Teraz już sobie przypominał. Nie potrzebował nawet chwili czasu, żeby podjąć decyzję, po prostu ostro rzucił:

— Sprzedać jeden udział Zmienny w Podstawie po bieżącej cenie rynkowej.

Pozostałe jedenaście udziałów rychło poszło drogą pierwszego.

Kiedy w końcu stracił wszystko i rozejrzał się wokół siebie, stwierdził od razu, że zniknęły nie tylko pieniądze, ale również Natalie Paskov.

Akademik Lofting Gubelin, zasiadający w swoim biurze, perorował niemalże w kapłańskim stylu. Jego stary przyjaciel, Hans Girard-Perregaux miał wystarczająco wiele innych spraw na głowie, pozwolił więc mu na to, tylko częściowo podążając za jego monologiem.

— Uważam — prawił Gubelin, — że w społeczeństwie nie istnieje coś takiego jak trwały rozwój. Jest to ciało szarpane nieregularnymi wstrząsami, lecz absolutnie statyczne. Cała cywilizacja może trwać w spoczynku przez całe milenia.

Girard-Perregaux zwrócił mu delikatnie uwagę:

— Lofting, czy to nie przesada?

— Nie, na Zoroastra, nie! Weźmy pod uwagę Egipcjan. Ich największe monumenty, takie jak piramidy, były budowane w czasach najwcześniejszych dynastii. Największą z piramid w Gizie, zbudował przecież Khufu, czy też Cheops. Był on założycielem 4-tej dynastii, około roku 2900 p.n.e. Przez dwadzieścia pięć dynastii i niemal trzy tysiące lat, w cywilizacji egipskiej nie nastąpiły żadne godne uwagi zmiany.

Girard-Perregaux łagodnie go podpuścił:

— To tylko jedyny przykład na poparcie twojej teorii, który od razu nasuwa się na myśl.

— Wcale nie! — zapłonął Gubelin. — Nowszym dowodem mogą być Majowie. Ich cywilizacja sięga wstecz do co najmniej 500 roku p.n.e. W tym okresie ich pismo było już szeroko rozpowszechnione, a miasta, których liczba w końcu sięgnęła setek, znajdowały się już w budowie. Do czasu narodzenia Chrystusa, osiągnęli szczyt swego rozwoju. I pozostali na tym poziomie aż do przybycia Hiszpanów, ani nie zyskując, ani nie tracąc, w kategoriach rozwoju społecznego.

Jego kolega westchnął.

— I jaka z tego konkluzja, Lofting?

— Czyż nie jest cholernie oczywista? — dopytywał się ten drugi. — Grozi nam utknięcie w podobnym stanie statycznym, tu i teraz. Państwo Ultradobrobytu! — Parsknął z oburzeniem. — Lepszą nazwą by było Państwo Konformistyczne, albo Państwo Status Quo. Mówię ci, Hans, wszelki postęp zamiera. Nie ma woli do podążania w nieznane, nie ma żądzy odkrywania nieodkrytego. A tym razem, to nie jest kwestia jakiegoś ograniczonego obszaru, jak Egipt, czy Jukatan, ale całej naszej planety. Tym razem, jeśli ludzkość zapadnie w intelektualną śpiączkę, to spowolni cała rasa, a nie jakiś pojedynczy jej czynnik składowy.

Poderwał się nagle zza biurka, przy którym siedział, i zaczął przemierzać pokój.

— Nasza rasa musi znaleźć sobie nową granicę, nowy ocean do przekroczenia, nowego wroga do pokonania.

Girard-Perregaux uniósł brwi.

— Nie udawaj ciemniaka z pospólstwa — warknął Gubelin. — Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie ludzkiego wroga, czy nawet jakąś obcą inteligencję. Ale coś, przeciwko czemu będziemy musieli postawić nasz cały rozum, wszystkie możliwe siły, najbardziej zawziętą determinację. W przeciwnym przypadku popadniemy w otępienie, bezproduktywnie zwiędniemy.

Jego towarzysz wreszcie zachichotał.

— Mój drogi Loftingu, to było niesłychanie liryczne.

Gubelin nagle zatrzymał się, wrócił do swego biurka i opadł z powrotem na fotel. Wydawało się, jakby nagle przybyło mu ze dwadzieścia lat, a twarz mu obwisła.

— Nie wiem po co ja ci to wszystko w ogóle mówię, Hans. Zdajesz sobie sprawę z sytuacji równie dobrze jak ja. Kolejną granicą ludzkości jest kosmos. Najpierw planety, a potem dotarcie do gwiazd. To nasza nowa granica, nowy ocean do przekroczenia.

Jego stary przyjaciel skinął głową. W końcu skierował całą swą uwagę na dyskusję.

— I uda nam się, Lofting. Ostatnia wyprawa Ponda przyniosła nam silne dowody, że możemy naprawdę skolonizować i eksploatować księżyce Jowisza. Jeszcze dwa loty, co najwyżej trzy, i będziemy mogli opublikować nasze odkrycia, w taki sposób, że rozpalą one wyobraźnię każdego Toma, Dicka, czy Harry'ego, jak nic innego od czasu kiedy Kolumb przedstawił swoje wysoce przesadzone raporty na temat Nowego Świata.

— Dwa, trzy loty — chrząknął z goryczą Gubelin. — Słyszałeś pogłoski. Komisja Budżetowa ma zamiar przykręcić nam kurek. Jeżeli nie uda nam się zaprząc Ponda z powrotem do roboty, jesteśmy załatwieni. Kolejne loty nigdy się nie odbędą. Mówię ci, Hans…

Ale Hans Girard-Perregaux uciszył go machnięciem palca.

— Odbędą się. Podjąłem odpowiednie kroki, żeby zaciągnąć naszego przyjaciela Seymoura Ponda z powrotem w kosmos.

— Ależ on nienawidzi kosmosu! Tego tchórza pewnie nie da się namówić, aby przez resztę swego życia zbliżył się do Portu Kosmicznego Albuquerque bardziej niż na milę, cholerny ciemniak!

Lampka na biurku zamrugała na zielono i Girard-Perregaux uniósł brwi.

— Dokładnie w punkcie szczytowym napięcia psychicznego. Jeśli się nie mylę, Lofting, to pewnie nasza kobieta upadła.

— Nasza, kto!?

Ale doktor Hans Girard-Perregaux zerwał się już na nogi, i osobiście otworzył drzwi.

— Ach, moja droga — uprzejmie oznajmił.

Do pomieszczenia wkroczyła energicznie Natalie Paskov, występująca dzisiaj w bułgarskim stroju ludowym i wyglądająca równie idealnie jak w Sali Sław.

— Zadanie wykonane — dziarsko zameldowała.

— Naprawdę? — stwierdził z aprobatą Girard-Perregaux. — Tak szybko?

Gubelin wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

— Co, na cholernego Zoroastra, się tutaj dzieje?

Jego przyjaciel odparł:

— Drogi akademiku Gubelin, proszę pozwolić przedstawić sobie Natalie z Usługi Nadzwyczajne, Sp. a.

— Usługi Nadzwyczajne? — wykrztusił Gubelin.

— W tym przypadku — gładko wtrąciła Natalie, zajmując krzesło zaproponowane jej przez doktora Girard-Perregaux, — to szczególnie trafna nazwa. To był naprawdę paskudny numer.

— Ale w zbożnym celu, moja droga.

Wzruszyła ramionami.

— Słyszę to bardzo często, kiedy wysyłają mnie na te wyjazdowe zadania.

Girard-Perregaux pomimo wypowiedzianych przez nią słów, promieniał w jej stronę życzliwością.

— Proszę o pełny raport — powiedział, ignorując oczywiste oszołomienie swego kolegi.

Natalie krótko zrelacjonowała:

— Podjęłam obiekt w Sali Sław, w hotelu Większe Metropolis, pod pretekstem zainteresowania programem kosmicznym. Szybko okazało się, że przybył tam on na celebrację swojego przejścia na emeryturę. Był niewiarygodnie wręcz naiwny, i pozwolił mi na oszołomienie go pół-

narkotykami oraz alkoholem, tak że poziom jego zahamowań obronnych stał się bardzo niski. Potem zabrałam go do miejsca hazardu, gdzie tak bardzo ogłupiony, że niemal nie wiedział co robi, stracił cały posiadany przez siebie kapitał, poza niezbywalnym.

Gubelin do tej pory gapił się na nią w milczeniu, ale teraz wyrzucił z siebie:

— Ale przypuśćmy, że by wygrał?

Zbyła to wzruszeniem ramion.

— Mało prawdopodobne. Przez cały czas zachęcałam go do dalszych zakładów. Za każdym razem kiedy wygrał, nakłaniałam go do podwojenia stawki. To była tylko kwestia czasu, kiedy… — pozwoliła by ostatnie zdanie zawisło w powietrzu.

Girard-Perregaux zatarł energicznie ręce.

— A więc, w efekcie, to tylko kwestia czasu, kiedy nasz przyjaciel Pond pojawi się znowu w okolicy.

— Tego już nie jestem w stanie powiedzieć — stwierdziła z brakiem zainteresowania Natalie. — Moje zadanie zostało wykonane. Jednak ten biedak wydawał się być tak krańcowo przeciwny powrotowi na panów usługi, że specjalnie by mnie nie zaskoczyło, gdyby pozostał na emeryturze, żyjąc ze swoich udziałów Niezbywalnych w Podstawie. Zdawał się być kompletnie przerażony samą myślą, o ponownym doświadczeniu depresji kosmicznej.

Ale Hans Girard-Perregaux pokiwał w jej stronę przecząco palcem.

— Nie po tym, jak zasmakował lepszego życia w trakcie ostatniej dekady. Człowiek jest w stanie wegetować na dywidendach z Niezbywalnych udziałów w Podstawie, ale niemal niemożliwe jest zmusić się do tego, kiedy cieszyło się wcześniej znacznie pełniejszym życiem. Nie, Seymour Pond nigdy nie wróci do tego ponurego stylu życia, którym żyje dziewięć dziesiątych populacji.

Natalie podniosła się z krzesła.

— No cóż, panowie, otrzymacie od nas rachunek – dosyć słony. Mam nadzieję, że wasz cel uświęca ten brudny numer. Szczerze mówiąc, ja osobiście, rozważam rezygnację z mojej pracy dla Usług Nadzwyczajnych, chociaż perspektywa życia z moich Niezbywalnych udziałów nie kusi mnie ani odrobinę bardziej niż biednego Si Ponda. Do widzenia, panowie.

Ruszyła w stronę drzwi.

Zapaliła się lampka tivi-telefonu na biurku Gubelina i właśnie kiedy doktor Girard-Perregaux kończył obłudnie uspokajać dziewczynę: — Wierz mi, moja droga, że zadanie jakie wykonałaś, aczkolwiek brzydkie, posłuży przyszłości całej rasy. — tivi-telefon oznajmił:

— Proszę pana, polecił mi pan, żebym miał oko na pilota Seymoura Ponda. W doniesieniach informacyjnych pojawiła się właśnie wiadomość na jego temat. Dzisiaj rano popełnił samobójstwo.

KONIEC